

DLA MŁODSZYCH.

„Papuśka, papuziuchna, papuzieczka".

Tak pieszczotliwie nauczona przez właścicieli, nazywa sama siebie miluchna papuga (z rodzaju *„Palacornis"*), średniej wielkości, zielonej z czerwoną barwy, z zielonemi też ślepiętami, zupełnie podobnemi do szkiełek wstawionych w oczodoły zwierząt wypychanych. Rozumie ona wybornie, że te spieszczone wyrazy tyczą się jej, a nie kogo innego; lubi, aby na nią zwracano uwagę, bawiono się z nią, rozmawiano, a przynajmniej przypatrywano się jej; a gdy towarzystwo, zajęte sobą, zapomni o nie to z wysokości „gniazda", po wyostrzeniu dzioba, z przym niem pokornem przypomina: „Papuśka"!... W ten sam przypomina o swem istnieniu, gdy jest głodna, pragnie zamkniętej klatki i t. p.

Nie znałem w życiu, nie przypuszczałem, że może istnieć tak rozkoszna, „inteligentna“ papuga, jak ta właśnie, należąca do inżynierostwa R. w Kielcach. Papugi w menażeryach i po domach warszawskich są wrzaskliwe, krzykiem bełkotliwym odtwarzają najczęściej jakiś zgiełk uliczny, gwizd łobuzerski, szczekanie psa; kilka wyrazów wyskrzeczanych, do znudzenia powtarzających się w najnieodpowiedniejszych chwilach, to cały repertuar naśladowniczy.

Papuśka kielecka wymawia wyrazy rozmaite, doskonale dostrojone do okoliczności, pieszczotliwie a przecież wyraźnie; jest zawsze dobrze wychowaną, a jeżeli niekiedy śmieje się „od ucha do ucha“, to tylko pobudzona wesołością powszechną i hałasem, sprawianym przez całe towarzystwo.

Na wykształcenie papuśki składały się ze dwa pokolenia panien i panów dobrze wychowanych, z których każde celowo nauczyło czegoś swą pupilkę. W rodzinie państwa R. ptak jest od lat 30-tu, naprzód wychowano go w pięknym dworze wiejskim, potem, po śmierci rodziców pani R., przewieziono do Kielc, gdzie willa inżynierostwa, z dużym cienistym ogrodem na okół, przypomina raczej wieś, niż miasto. Szczególnie miło i rozkosznie jest tu papuśce na wiosnę, latem i w pogodnej jesieni. Uczepiona na ramieniu pana czy pani, albo też dreptając za niemi, skoro się dostanie do ogrodu, wzlata na gałąź, i zaszyta w zieleń, mrużąc ślepia do słońca, drzemie rozkosznie, niekiedy wyrażając swe zadowolenie słowem: „Dobrre“...

W zieleni gałęzi drzewnych, sama zielona, zlewa się z tłem tak, że trudno jej odszukać, a że lubi bawić się w „chowanego“, więc nieraz trzeba się długo nawołać: „Papuziuchna! papuziuchna“... nim sfrunie z drzewa. Jest tylko jedna osoba, na której widok papuśka rzuca wszystko: to siostrzeniec państwa R., 10-letni Boleś. Zoczywszy go, a może i poczuwszy, papuga z radosnym krzykiem: „Chłopak!“, spada mu na ramię, bije skrzydłami, przytula się skrzydłami do jego twarzy, pieści formalnie. Wogóle „papuśka“ ogromnie kocha dzieci, o ile jej one nie dokuczają. Nieznajomych traktuje z pewną wstrzemięźliwością. Znajomemu skoro jej tylko podsunie palec wskaziciel: mówi: „Dzień dobry!“ i rozsiada się poufale na owym palcu.

Duża klatka z prętami złoconemi służy ptakowi tylko za sypialnię, dzień spędza przeważnie na „gnieździe“.

W jadalni, na szczycie połówki drzew, zawsze odchylonej. przybito rodzaj platformy z blachy; tam — wysoko — jest obserwatoryum papugi i jej spiżarnia. Wdrapuje się na tę wyżynę nietylko z pomocą pazórków, ile dzióba: jedno dobre odsadzenie się dzióbem waży tyle, co kilka kroków na pazurkach. Wogóle ten dziób, często szlifowany i ostrzony gra ważną rolę w jej życiu: gdy dziób nie działa odpowiednio przy rozdrabianiu pokarmów, odbija się to na zdrowiu ptaka. Z wyżyn swego obserwatoryum papuśka gotowa jest w każdej chwili do wzięcia udziału w zabawie.

Siedziałem w saloniku, zatopiony w czytaniu, gdy zbudził mnie niezwykły harmider. Ktoś biegał po pokoju jadalnym hałaśliwie, pośpiewując; ktoś inny tubalnym, hałaśliwym głosem śmiał się do rozpuku. Wybiegłem zobaczyć, co to takiego. Cóż widzę?... Pan R., wziąwszy Bolesia pod pachę, biega z nim wokół stołu, przyśpiewując: „Macieju, Macieju“, a papuga, pobudzona tym ruchem, jak chłopisko duże, zanosi się grubym śmiechem: „Ha, ha! ha! ha! ha!“.

Papuśka umiała dawniej śpiewać całego krakowiaka o Macieju, ale, nieufając widocznie swym zdolnościom wokalnym, teraz woli przysłuchiwać się, jak nuci Boleś, lub pan R., niekiedy tylko w tonach „forte“, towarzysząc przyśpiewem. Nie powiem, żeby to było zachwycające, jest to raczej skrzek, niż śpiew, ale zabawne to na potęgę.

Gdy dokuczy papuśce głód, sfruwa na stół, i patrząc w oczy gospodyni, upomina się o swą porcyę. Wiemy, co jej smakuje, bo niesmaczne wyrzuca z dzióba, smaczne zaś nie zaniedba pochwalić: „Dobrre... dobrre“... Gdy cienie wieczorne zaczynają ogarniać ziemię, papuśka przypomina sobie o istnieniu klatki, wchodzi wewnątrz, siada na kółko, ale nie układa się do snu. Do tego potrzeba, aby klatkę okryto chustką welnianą. Wówczas dopiero żegna dzień i państwa swoich słowami: „Dobra noc!“ Nic ponad to nikt już od niej nie usłyszy, aż do świtu, gdy, po odsłonieniu klatki, mieszkanka powita was słowy: „Dzień dobry!“ I ktoby mógł przypuścić, że takie grzeczniuchne stworzenie miało jednak napady zdziczenia, upadku?

Po śmierci rodziców pani R., gdy we dworze zapanował chaos żałoby i rozprzężenia, papugę wyniesiono z jadalni do izby czeladnej.

Dość było kilku tygodni pobytu w nowym miejscu, aby kultura papugi opadła z niej prawie doszczętnie. Stała się wrza-

skliwą, obcesową, złą, zamiast pieszczonych wyrazów, ponauczała się przekleństw i grubiaństw.

— Łajdaki, złodzieje, szubrawcy!... Psiakrew!... wołała od świtu do zmroku. Zawsze czyściuchną, opanowało jakieś robactwo. Panienki nie poznały papuśki, gdy po przejści najboleśniejszych chwil sieroctwa, przypomniały sobie o jej istnieniu.

Ostatnie chwili pobytu papuśki w izbie czeladnej ubarwiło zabawne zdarzenie. Do tejże izby przyniesiono gołębia, którego czy to wypadek, czy to psotnik jakiś okaleczył: ptak miał nadłamane skrzydło. Litościwa szafarka nastawiła mu skrzydło, karmiła go i ułożyła w improwizowanem gnieździe — na szafie.

Papuga z klatki swej z niezmierną ciekawością przeglądała się przybyszowi; wyrywała się doń nawet, ale nie wypuszczono jej z obawy, aby nie poturbowała pacyenta.

Gdy wreszcie gołębiowi skrzydło się już zrosło, zaczął sfruwać z szafy i żerować po podłodze. Papuga wciąż wyrywała się do niego. Pewnego dnia, wypuszczono ją z klatki podczas spaceru gołębia. Podbiegła wprost ku niemu. Gołąb wystraszył się bardzo i uciekł w drugi róg izby — papuga za nim; gołąb w inną stronę — papuga trop w trop w te pędy; po kilku takich zwrotach, dopadła go pod samą szafą.

— Co ona z nim robi? — szepcą do siebie wszyscy obecni.

Cóżby miały zrobić? Nic, tylko, przypomniawszy sobie wyraz odpowiedni z dawnej nauki, użyła go w porę, zawoławszy do gołębia:

— *Dzień dobry!...* Gołąb nie umiał odpowiedzieć na to uprzejme powitanie czem innem, jak tylko utylitarnem: „Grrrochu!“ i frunął na szafę.

Panienki zapewniają, że nie pamiętają równie komicznego efektu nad ten, gdy wystraszonemu, przycupniętemu w kąciku gołębiowi, goniąca go prześladowczyni — papuga powiedziała: „Dzień dobry!... Wierzę temu [1]. *Karol Hoffman.*

NELUSIA.

Nelusia — bohaterka niniejszego opowiadania — to malutka suczka, biała w duże czarniawe plamy z kolistą plamką na czole, z którego świecą rozumne dwa oczka, figlarnie spoglądające w świat Boży.

---

[1]) Przyjaciel zwierząt.

Że psinka ta mała wyrosła na zaszczytne stanowisko bohaterki, zawdzięcza to następującemu zdarzeniu.

Rodzice moi mieszkali w małem, prowincyonalnem miasteczku. Tam to ujrzałem po raz pierwszy świ tło dzienne, tam upłynęły mi moje lata dziecięce i tam jako chłopak rozpocząłem poznawać świat, jego piękności i rozpocząłem wgłębiać się w tajniki wielkiego i małego abecadła. Na ławie szkolnej zawiązałem szczerą przyjaźń z Fredkiem, przyjaźń, która do dziś jeszcze nas łączy. Nici takie, na ławie szkolnej zadzierżgnięte, nieprzerywały się łatwo. Umacniają je wspólne wspomnienia, bądź radośnie, bądź bolesne, wspólne figle płatane innym, a nawet i wspólne kary, razem winnie, lub niewinnie wycierpiane. Jeszcze do dziś pamiętam, jak to wójko Fredka na wiśni przydybał i jak te ulęgałki z drzewa strząsł; tam, że my nie wiedzieli, czy śmiać się z tego, czy płakać. A ogród wójka, to był cel naszych marzeń, pełen owoców, ale dostęp do niego był utrudniony, bo właściciel strzegł go jak oka w głowie.

Za to ciotka Fredka dozwalała hasać nam po swoim ogrodzie, jak się nam tylko podobało, i jeść owoce, ile tylko mogliśmy. Jedna tylko rzecz w tym względzie psuła nam uciechę, że ciotka mieszkała w sąsiedniej wsi, oddalonej o dwie mile od naszego miasteczka. Rzadko więc mogliśmy ciotkę odwiedzać. O odległości wsi nie mieliśmy pojęcia, bo zawsze rodzice nasi brali nas na furę i tak wydawało nam się, że ciotka bardzo blisko nas mieszka.

Raz w zimie mocno się nam nudziło. Ślizgawki nie było, bałwanów ze śniegu robić nam nie było wolno, tak więc siedzieliśmy rozmawiając o rzeczach, które nas chłopców mocno zająć mogły, mówiliśmy o owocach w ogrodzie wójka, o śliwach ciotki, które nam ostatniego razu tak dobrze smakowały.

„A pamiętasz konfitury, któremi nas twa ciotka raczyła“?

„A jakżeż by nie, jeszcze teraz na wspomnienie tego, ślinka mi idzie do ust, ach a ile tych słoików ciocia jeszcze w szafie ma“!

„Wiesz, Fredku! szkoda, że tak długo czekać do lata, kiedy twój ojciec znów nas do niej weźmie“.

Ale po co mamy tak długo czekać — wykrzyknął Fredyk — mamy dzisiaj czas, wybierzmy się do cioci, nim wieczór nadejdzie, będziemy z powrotem, nikt nawet o tem wiedzieć nie będzie“.

Ledwie zamiar się zrodził, a już bez żadnego zastanowienia się wylecieliśmy na ulicę i chyłkiem przez ścieżkę wybiegliśmy na drogę prowadzącą do sąsiedniej wsi. Mrozu wielkiego nie było, tylko śnieg prószył nieco. Maszerowaliśmy szparkiem krokiem i nieczuliśmy zimna. Rozmowa o ciotce, o konfiturach, tyczyła się żywo i nie opatrzyliśmy się, jak znaleźliśmy się w czystem polu, gdzie zimny wiatr nas smagać zaczął. Przed nami wznosiła się droga stroma do góry. Byle stanąć na szczycie łatwo stamtąd zobaczyć wieś i prędko staniemy u celu; ruszyliśmy szparko dalej, ale pod górę nie szło tak prędko, ustała rozmowa, ciężko dysząc dotarliśmy na wierzcholek.

Jakżesz wielkie było nasze rozczarowanie, gdy zobaczyliśmy przed sobą dalej między pola puste ciągnącą się drogę, która gdzieś w mrocznej oddali ginęła, — wsi ani śladu. Nie mieliśmy pojęcia o odległości, dotychczas zawsze furą jechaliśmy, podczas jazdy nie nudziło się nam, więc nie zważaliśmy na długość. Stanęliśmy bezradni. Machinalnie zeszliśmy na dół na równinę, ale tutaj zaczął śnieg padać, robiło się coraz ciemniej, nogi zaczęły wymawiać posłuszeństwa.

Nareszcie Fredek zatrzymał się.

„Wiesz ty co, rzekł, nie ma innej rady, nie dojdziemy do wsi, trzeba wracać, bo noc wkrótce z padnie“.

„Wracajmy — odrzekłem płaczliwie — ale jak my taką drogę nazad zrobimy, gdy już teraz mnie nogi tak mocno bolą“.

„Na to jest łatwa rada. Widzisz tam z boku stojące wielkie drzewo, tam jest znacznie lepiej, śnieg tam nie bije, chwilę sobie tam spoczniemy i nabrawszy sił, wrócimy w mig do domu.

I znowu bez żadnego zastanowienia się, zboczyliśmy z drogi, by pod grubym pniem dębu usiąść. Jak długo tam siedzieliśmy, nie wiem, dość, że w niedługim czasie, sen nas zmorzył i zasnęliśmy niebaczni, że taki sen o śmierć z zamarznięcia nas przyprawić może. I spaliśmy.

A tam w domu spostrzeżono dopiero pod wieczór naszą nieobecność, gdy mój ojciec posłał sługę po mnie do rodziców Fredka. Okazało się, że nas obu nigdzie niema. Zaczęto nas szukać, oczywiście nadaremnie, niepokój ogarnął wszystkich. Na szczęście służąca wyraziła zdanie, że może my do ciotki się wybrali, bo słyszała naszą o niej rozmowę.

Nie tracąc ani chwili, wybrali się obydwaj ojcowie opatrzeni latarnią w drogę. Daremnie jednak bacznie patrzyli za

nami, daremnie prawie o godzinę drogi oddalili się od mieszkania. Już stracili nadzieję odnalezienia nas, gdy nagle Nelusia, która towarzyszyła wyprawie, zaczęła coś węszyć i wśród głośnego szczekania pobiegła w bok drogi. Pospieszono za nią i oto stała wierna psina nad nami spiącymi, obsypanymi do połowy śniegiem. Rzucono się ku nam, wzięto cucić i szczęśliwie przywrócono nas do życia, jeszcze trochę, a bylibyśmy zamarzli. Nelusi winniśmy nasze ocalenie.

Lata minęły od tego zdarzenia, a zawsze w mej pamięci mam obraz tej wdzięcznej psiny, a wszystkie psy zawsze cenię i nigdy nie dam im nic złego uczynić. *L.*

Kaczka waleczna.

Kaczka, której drapieztwo wron musiało być znanem, męstwem swem wywoła podziw widzów. Kaczka ta płynąc na rzece Tweea (Tinid) w Anglii na czele 7 młodych kacząt, ujrzała na mieliźnie wronę W jednej chwili wystąpiła na brzeg i zaczęła walkę z wroną, i mimo oporu drugiej zanurzyla ją w wodę.

Tutaj siedząc na niej, zaczęła kaczka ją obrabiać dzióbem i pazurkami. Trwało to około pięciu minut. Po tym czasie puściła na wpół żywą i wróciła do młodych. Wrona dostała się na mieliznę i zdechła. Rabacy przypatrujący się temu, podnieśli wronę, która miała pierze ze skórą kawałkami powydzierane.

N. N.

W Berlinie.

W palącej się psiarni znajdowała się suka. Gdy psy wypuszczono, wszystkie uciekły oprócz niej. Dopiero gdy jej wzięto szczenięta i umieszczono w bezpiecznem miejscu, ona za niemi też poszła i przez cały czas trwania pożaru troskliwie pilnowała. *F. L.*

Wpływ ognia na zwierzęta.

Niektóre zwierzęta zwłaszcza dzikie uciekają od ognia, zaś domowe ogień pociąga i tem sposobem przyprawia do zguby. Podczas pożaru w Berlinie na Schinkenstrasse gołębie nie chciały opuścić płonącego gołębnika i razem spaliły się. Tak dzieje się i z krową, osłem, owcą i t. d. Ogień zawiera coś w sobie przyciągającego dla nich, lecz na ich zgubę. *F. L.*

U wszystkich psów istnieje pamięć.

Małym charcikom przypisują brak rozumu i zmyślności. Pogląd ten jest fałszywy, bo one mają rozum i pamięć a zarazem i myślą. Teraz każdy nawet mały piesek musi nosić kaganiec a to psu sprawia przykrość. Pewien piesek, który przedtem lubiał wychodzić z pomieszkania, teraz siedzi w domu, woląc dom niż kaganiec i świeże powietrze. *F. L.*

Rozmaitości.

Przywiązanie pszczół do królowej. Niezmiernie interesujący przyczynek do biologii pszczół, przyniosły obserwacye p. V. Butlel-Reepena. Zauważył on mianowicie, że gdy rój wymiera z głogu, ostatnia ulega śmierci królowa, karmiona do ostatka przez mrące z głodu robotnice. Aby sprawdzić swoje obserwacye, wspomniany bodacz zamknął w klatce z gazy drucianej matkę, kilka robotnic i niewielką ilość żywności. Po 48 godzinach robotnice były bardzo wycieńczone i osłabione, gdy królowa zachowywała się zupełnie normalnie. Po 2 dniach następnych żyły tylko 4 robotnice, a na 3 dzień tylko jedna, królowa jednak była zdrowa. Uczuwszy głód, królowa zbliżyła się do umierającej robotnicy, która usiłowała oddać jej zawartość swego wola. Po godzinie robotnica zmarła, na królowej, nie było znać żadnego osłabienia.

Mrówki i guma arabska. W niemieckich posiadłościach w Afryce wschodniej; znajduje się pewna ilość drzew i krzewów, dostarczających gumy. Z poszukiwań dokonanych nad temi roślinami, wynika, że wyciekanie gumy rzadko bywa skutkiem uszkodzeń, spowodowanych przez burze, ludzi, albo zwierzęta; przyczyną wyciekania bywają zwykle rany, zadane przez mrówki Owady te drążą korę akacyi, żeby się dostać do drzewa, w którym wygryzają obszerne korytarze, dla złożenia jajek. Ciekawą jest rzeczą, że oddają one pierwszeństwo gatunkom o twardym drzewie, na miękkim znajdaje się mało ranek. Dostarczają one mało gumy, która służy roślinie do zasklepiania otworków zrobionych przez mrówki. Same mrówki nie korzystają z gumy, jest ona dla nich raczej szkodliwą, bo zasklepia porobione przez nie korytarze. Istnieje natomiast inne gatunki owadów, które przychodzą karmić się gumą, zanim ona stwardnieje i wygniatają znane dołki na powierzchni okrągłych kulek tej wydzieliny.

Kącik humorystyczny.

Na wystawie drobiu:

— Po czem pan odróżnia młodą kurę od starej?
— Po zębach.
— Żartuje pan!... Przecież kura nie ma zębów?...
— Kura nie ma, ale ja mam!

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem T. Wiedenia.